



Jeszcze o Gdańskim Teatrze Szekspirowskim

„PAUza Akademicka” już parokrotnie zamieszczała artykuły o projekcie i budowie Teatru Szekspirowskiego w Gdańsku („PAUza Akademicka” 55, 57).

A dzisiaj to, co wydawało się marzeniem paru zapaleńców, staje się realnością: 29 października 2013 roku odbyła się uroczystość zawieszenia wiechy na wznoszonym budynku, co oznacza, iż osiągnięto już najwyższy punkt. To później niż zakładano, ale inwestor został zmuszony do wypowiedzenia umowy głównemu wykonawcy.

Nie zawsze przetargi wygrywa ten, kto powinien. Musieliśmy ogłosić nowy. Niestety, tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze publiczne, obowiązuje fatalna pod wieloma względami Ustawa o zamówieniach publicznych. Miała chronić przed korupcją, a w rezultacie stanowi tak ciasny kaftan (pozornego) bezpieczeństwa, że utrudnia, wręcz uniemożliwia sprawne prowadzenie inwestycji. Jest to kaftan samozakleszczający się. Dla instytucji kontrolnych nie cel jest najważniejszy (czyli szybka i sprawna realizacja inwestycji), tylko procedury. Każde naruszenie procedur, choćby najbardziej banalne, bez następstw finansowych, powoduje natychmiastowe reperkusje w postaci tzw. „taryfikatora”, czyli kar pieniężnych nakładanych na beneficjenta środków publicznych (może też spowodować wstrzymanie finansowania, albo – w skrajnych przypadkach – nakaz zwrotu całości środków). Wysokość kar w znacznej mierze zależy od arbitralnych ocen przezwinięcia przez urzędników. Podam konkretny przykład: ogłaszamy przetarg na przełożenie rur gazowych, biegnących pod naszym placem, i w warunkach przetargu umieszczamy punkt, który mówi – zgodnie z prawem budowlanym – że startujące w przetargu firmy powinny mieć uprawnienia do prac gazowniczych. I co? Ano ograniczyliśmy konkurencję, bo firma startująca może mieć podwykonawcę, który takowe uprawnienia posiada. No i kara. Ale to, jak taka firma, nie mając doświadczenia w pracach gazowniczych, będzie kontrolować swojego podwykonawcę, to już urzędu nie interesuje, bo nie ma o tym mowy w procedurach. I tym podobnie, i tak dalej. Decyzje urzędu (tzw. „Władzy Wdrażającej”) są nieprzewidywalne i często krzywdzące beneficjentów.

Wspominam o tym nie po to, by zrzędzić, ale wskazać, że gąszcz przepisów, często absurdalnych i sprzecz-

nych, tworzy zasieki trudne do przebycia. W normalnych warunkach inwestor, który nie jest zadowolony z głównego wykonawcy, po prostu go wyrzuca. Tutaj jednak trzeba było ogłosić nowy przetarg, co kosztowało nas pięć miesięcy. Stracony czas. Z drugiej strony, nowa firma, która przetarg wygrała, radzi sobie znakomicie i wszystko wskazuje na to, że budowa zakończy się zgodnie z nowym harmonogramem, czyli w czerwcu przyszłego roku. Nie będzie to łatwe, zważywszy na zakres prac, jakie jeszcze pozostały do wykonania.

Najważniejszy jest dach, obecnie montowany, który w naszym teatrze jest ze wszech miar wyjątkowy, gdyż jest otwierany! Teatr nawiązuje do tradycji elżbietańskiej, kiedy grano w teatrach – drewnianych budach o otwartym dziedzińcu – gdzie widzowie otaczali scenę z trzech stron. Tak więc, grano przy świetle dziennym. Do tej tradycji nawiązujemy, ale ze względów klimatycznych postanowiliśmy wprowadzić otwierający się dach, umożliwiającą granie przy świetle sztucznym w ogrzewanym wnętrzu. Jednakże latem można grać przy otwartym dachu. Są to dwie połączone (jak wieka w szkatule) o stalowej konstrukcji i kryte miedzią blachą, łącznie 400 m² o wadze 160 ton! Takiego dachu nie ma żaden teatr na świecie i jest to wyzwanie nie tylko dla projektantów i konstruktorów, ale i dla wykonawców. Dodam jeszcze, że otwieranie dachu trwać ma około trzy minuty.

Gdy tylko dach zostanie zainstalowany, możliwe będzie przejście do prac najbardziej istotnych dla sceny i jej wyposażenia. Montowany będzie skomplikowany system kilkudziesięciu zapadni, umożliwiających przeobrażenie sceny elżbietańskiej w pudełkową, włoską, a nawet w arenę, którą widzowie otaczają z czterech stron. Zamknięcie bryły umożliwi montaż okładzin drewnianych na galeriach dla widzów, podłogach i innych elementach. Oczywiście teatr musi mieć nowoczesny system nagłaśniania i światła. To wszystko jeszcze przed nami, ale przy dającej się obecnie zauważyć znakomitej organizacji pracy wydaje się, że do czerwca rzeczywiście zdążymy. Potem nastąpi faza tzw. odbiorów (przez strażaków, nadzory budowlane itp.), i jeśli nie nastąpią jakieś niespodziewane trudności, będziemy zapraszać na uroczyste otwarcie 19 września 2014 roku.

JERZY LIMON

członek korespondent PAU

Zdjęcia z budowy – str. 2.

Głos w dyskusji o polskiej humanistyce

Profesor Andrzej Białas
Prezes Polskiej Akademii Umiejętności

Szanowny Panie Profesorze,

Proszę wybaczyć, że dopiero teraz odpowiadam na otrzymany 9 IX bardzo ważny list o potrzebie ponownego rozważenia potrzeb i planów polskiej humanistyki. Rzeczą dotyczy kwestii o pierwszorzędnym znaczeniu.

Żyjemy w epoce niezwykłego przyspieszenia informacji – przy jednoczesnym (paradoksalnie) oddaleniu od jej źródła! Uczciwie odsyłać do internetu: wejścia... w dniu ... (dawniej bibliograficzny odsyłacz) wskazują, skąd wiadomość zaczerpnięto, ale ktoś kontroluje prawdziwość danych internetowych? Dotyczy to wszystkich nauk, lecz od humanistyki niepraktycznej (a nie lingwistyki stosowanej) wymaga się, czy oczekuje, prawdy...

Wracając (starcy są gadatliwi...) do listy potrzeb: wydawanie materiałów źródłowych – arcyważne, lecz przez doświadczonych w tej dziedzinie specjalistów (zawsze marzyłam o równoległych szpaltach: fotografie oryginału, odczytanie, z komentarzem w nawiasach); wydawanie ich przekładów przez władających językiem oryginału (w Polsce np. J.B. Singer wydawany był z angielskiego tłumaczenia...); opracowanie archiwów przez odpowiednio wyspecjalizowanych archiwistów – ba, lecz najpierw szko-

lenie archiwistów na odpowiednich wydziałach uniwersyteckich przez historyków tych nauk...

Pisze Pan Profesor o potrzebach polskiej humanistyki; oczywiście kulturowo związanej z innymi krajami i językami.

Starcy kraczą i taki ich obyczaj: Katastrofa już się dokonała i jest nieodwracalna. Trzeba ratować, co się da. Udać się może – ten częściowy ratunek, właśnie przez punkty (w największych ośrodkach naukowych) zgromadzonych danych o archiwaliach... Łatwiej byłoby podzielić je tematycznie, żeby widzieć np., co mają na temat X tylko w mieście Y itd.

A tak naprawdę przeraziłam się (w zeszłym roku czy wcześniej), zobaczywszy w antykwariacie za złotówkę książki, prace źródłowe, z pieczętką biblioteki XX. Pijarów (*Scholarum piarum!*) przez nich likwidowanej („klerycy nie chcą czytać”).

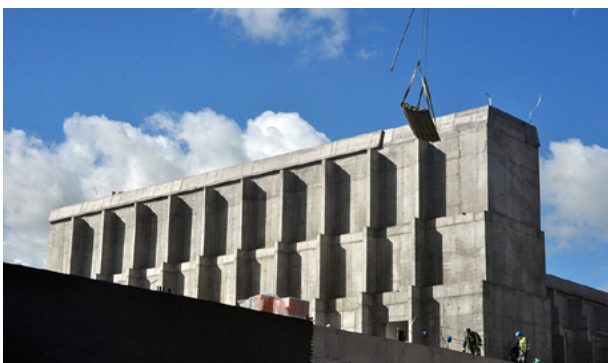
Proszę wybaczyć liczne poprawki etc. staruszce o licznych związanych z wiekiem „felerach”. Za nie tylko patrzenie i badanie pozostają z wyrazami głębokiego szacunku.

MARIA KARPLUK

Członek korespondent PAU
Kraków, 23 IX 2013

Gdański Teatr Szekspirowski w budowie

27 września 2013, fot. Andrzej Kobos



Jerzy Limon na budowie Teatru

Bić się czy nie bić (o przemysłową rewolucję w nauce)

W opublikowanym niedawno na tych łamach („PAUza Akademicka” 220) artykule¹ profesor Janusz Lipkowski opisuje, jak to na naszych oczach metody przemysłowe wkraczają do organizacji badań naukowych, jak relacje „Mistrz-uczeń” zmieniają się w relacje „manager-wykonawca”, oraz co – jego zdaniem – z tego wynika. Nawiasem mówiąc, warto dodać, jak bywają widziani sami szefowie – niezależnie czy mistrzowie, czy managerzy? – Ano tak: „Młodzi doktorzy kontynuują badania swoich promotorów, którzy prowadzą je od lat czterdziestu, kontynuując badania zapoczątkowane jeszcze przez ich promotorów w latach 50. zeszłego wieku”². Hmm... widocznie bywa i tak...

Tekst prof. Lipkowskiego, podobnie jak wiele innych opublikowanych ostatnio, jest niepokojący i prowokuje do głębszej analizy, na co zresztą tu i teraz mnie nie stać. Ponieważ jednak poproszono mnie (propozycja była z rodzaju nie do odrzucenia), bym coś na ten temat napisał, więc piszę.

Moim zdaniem, diagnoza prof. Lipkowskiego jest słuszna. To po prostu obserwacja empiryczna, stwierdzenie, że tak właśnie jest³. Pozostaje pytanie, czy to dobrze, czy źle? Czy powinniśmy jakoś reagować, czy raczej dostosować się, by uniknąć różnych patologii, opisanych zresztą przez Autora? Stanowisko prof. Lipkowskiego nie jest jednoznaczne. Autor chyba opowiada się za jakimś dostosowaniem, pisząc, że „albo stworzymy system wzorowany na n a n a j l e p s z y c h , s p r a w d z o n y c h m o d e l a c h [podkr. AF] ze świata, albo będziemy tkwić w więzach stworzonych pospołu przez poprzednie systemy i najnowsze reformy”. Pytanie tylko: jakie to modele? Wydaje mi się, że nie wszystkie dadzą się zastosować u nas. Kolejne pytanie: kto ma te modele wybrać – znowu aktualna/aktualny ministra/minister? Autor pisze jednak również tak: „pozostaje podstawowe pytanie: czy ten ‘przemysłowy’ model organizacji badań jest tym, do czego powinniśmy zdążać?” [cytuję oba sformułowania, bo razem nic dodać, nic ująć – AF].

Może zacznijmy od pytania, skąd opisana sytuacja się wzięła? Profesor Łukasz Turski twierdzi⁴, że obecny system oceny (i stąd finansowania) nauki ma swoje korzenie w II wojnie światowej (Autor przywołuje tu „Manhattan Project”) i następującej po niej zimnej wojnie. „Ulegliśmy wielu modom bezkrytycznie zaczerpniętym z dawnego tzw. wolnego świata”. „Wiele ze współczesnych nam struktur B+R (R&D) na Zachodzie to, trochę zmodyfikowane, przeszczepy struktur znanych z ZSRR. Cierpią one na wbudowaną nieefektywność, spowodowaną ich pochodzeniem z państw o scentralizowanym zarządzaniu i centralnym planowaniu. Czym jest więc o c e n i a n i e n a u k i ? Jest próbą centralnego (na poziomie agencji rządowej) podejmowania decyzji, czym powinno zajmować się środowisko naukowe danego kraju”. Nawiasem mówiąc, ciekawe, co na ten opis powiedzieliby historycy nauki?

Osobiście nie uważam tezy, iż zaczęło się od wykorzystania nauki (i naukowców) do celów wojskowych, za fał-

szywą, ale chyba nie wyczerpuje ona wszystkich aspektów obecnej sytuacji. Moim zdaniem, struktury te ustaliły się dlatego, że pojawiło się społeczeństwo masowe – owych siedemdziesięciu samodzielnych na miejsce siedmiu profesorów, w domyśle: Mistrzów, o których wspomina prof. Lipkowski. Po prostu nie da się efektywnie opisywać w jakimkolwiek celu zjawisk tłumnych, analizując zachowania się (trajektorie) pojedynczych elementów – w fizyce nauczyliśmy się tego dobrze ponad sto lat temu dzięki Boltzmannowi i Smoluchowskiemu. A że hipoteza ergodyczna nie działa przy ocenie pojedynczych Wybitnych Uczonych (jak np. przywołany przez prof. Turskiego Alain Aspect)⁵ ... Sprawdza się za to przy ocenie przeciętnej (średniej!) masy pracowników nauki, bez której to gleby owi Wybitni mieliby mimo wszystko trudniej. Stąd też, zapewne, wzięto się skromne określenie pracownik nauki.

Dodajmy jeszcze rewolucję informatyczną, gwałtowne zwiększenie się liczby studentów, publikacji, no i samych pracowników nauki, wykładniczy rozwój środków komunikacji itd., itp. Wszystko to co najmniej utrwaliło, jeśli nawet samo nie spowodowało powstania obecnej sytuacji. Jeśli tak, to chyba rewolucja przemysłowa w nauce – dziecko rewolucji informatycznej i kultury masowej – jest nie do uniknięcia? Czy powinniśmy z tym walczyć? Jeśli tak, to w imię czego? Może jednak nie wchodzimy w buty dziewiętnastowiecznych niszczycieli maszyn⁶.

Teraz znowu pytanie: czy te zmiany są dobre, czy złe? Łatwo wybrzydząć na kulturę masową (sam to nieraz robię), ale czy, na przykład, nadmiar profesorów (masowość) jest naprawdę szkodliwy? Bez koncentracji (nadmiaru!) nie byłoby choćby stworzonej przez Infelda warszawskiej fizyki teoretycznej, a na fizyce w UJ tzw. IV piętra. Były zakusy, żeby profesorów rozproszyć, lecz wszystkie (prawie) próby „zasilania” słabych ośrodków prowincjonalnych kończyły się fiaskiem. A wielkie kooperacje, jak chociażby CERN? Z kolei rewolucja informatyczna, istotny składnik kultury masowej, dała nam, między innymi, choćby łatwy dostęp do całej istotnej literatury (do nieistotnej zresztą też, niestety), możliwość współpracy na bieżąco z partnerami znajdującymi się na innym kontynencie itd., itp. Masowość – między innymi większe zespoły – wpłynęła z kolei na zmianę relacji Mistrz-uczeń, dziś zastąpioną, według prof. Lipkowskiego, relacją manager-wykonawca, albo, moim zdaniem, często po prostu relacją doktorant-zespół⁷. Nie chcę się bawić w starego zgrebda, nie będę więc próbował opowiadać, jak to drzewiej lepiej bywało, jak to Mistrz, otoczony wianuszkami ucznia ... Tym bardziej, że bywało różnie. W końcu felieton *Feudałowie i wasale* został opublikowany ponad pół wieku temu⁸.

Na koniec pytania do moich P.T. komilitonów.

Opis prof. Lipkowskiego bardzo dobrze pasuje do nauk przyrodniczych. A jak to jest w matematyce? W naukach humanistycznych? Piszcie, co o tym wszystkim myślicie.

ANDRZEJ FULIŃSKI

¹ Janusz Lipkowski, *Rewolucja przemysłowa w nauce?* „PAUza Akademicka” 220, 19.09.2013, str. 1–2.

² Jan Stanek, *Pieniądże? Wcale nie. To wygodnictwo jest problemem polskich uczelni*. Gazeta Wyborcza 14.10.2013 ([link](#)).

³ „Są, rzecz jasna, dość liczne wyjątki [...] Ale o wyjątkach tu nie mówimy”. Janusz Lipkowski, op. cit., przypis 1.

⁴ Łukasz Turski, *Ocenianie nauki – duch z przeszłości*, „PAUza Akademicka 222”, 03.10.2013, str. 1–2.

⁵ Ibidem.

⁶ Nawiasem mówiąc, współczesny luddyzm ma się całkiem dobrze: wystarczy hasło *luddyzm* wpisać do wyszukiwarki. Warto spróbować – można znaleźć całkiem ciekawe a nieoczekiwane informacje.

⁷ Komentarz na egzaminie doktorskim w pewnym dobrym instytucie: „no tak, promotor da temat, koledzy pomogą, a dopiero na egzaminie ...” (może prof. Turski pamięta?).

⁸ Jerzy Urban, *Feudałowie i wasale*, Polityka 15.09.1962. Tekst był co prawda pisany na konkretne zamówienie i zawierał sporo śmiesznych błędów merytorycznych (por. J. Hurwic, *O średniowieczu w środowisku naukowym*, Polityka 03.11.1962; szczegółowy opis sytuacji i osób w: J. Tarasewska, Z. R. Grabowski, *Życie i dzieło Wiktora Kemuli*, Kwartalnik Nauki i Techniki 47/1, 9–32, 2002, str. 24), niemniej ówczesna reakcja środowiska wskazuje, iż Urban nadepnął na odcisk nie tylko bezpośrednim adresatom.

zaPAU

Nie pamięta wół, jak cielęciami był

Gdy pokręcić się chwilę po korytarzach wyższych uczelni, łatwo zaobserwować, że źródłem większości żalów i narzekań, od których niemal puchną ściany, są URZĘDNICY. Słowo to stało się po prostu obraźliwe, a nazwanie kolegi-profesora urzędnikiem może być powodem do żądania „satisfakcji”, jeżeli nie do pierwszej krwi, to przynajmniej przed komisją dyscyplinarną, a może przed sądem.

Kimże jest więc ten mityczny urzędnik, ten zawalidroga i sprawca wszystkich nieszczęść, jakie spadają na polską naukę? To przede wszystkim BIUROKRATA (też słowo obraźliwe), który usiłuje bezdusznie realizować obowiązujące przepisy i zarządzenia, nie zwracając uwagi na faktyczne potrzeby badań naukowych lub dydaktyki. Który, bojąc się o swoje stanowisko, interpretuje te przepisy jak najbardziej restrykcyjnie, nie chcąc ryzykować negatywnych wyników kontroli. Który wreszcie, demonstrując swoją władzę, przeciąga procedury i zwleka z decyzjami. Taki przynajmniej jest obraz urzędnika w profesorskich oczach. Właściwie można nim dzieci straszyć¹.

Ale czasem profesor dostaje odpowiednią propozycję i staje się urzędnikiem.

Pierwsza rzecz, która zastanawia postronnego obserwatora, to łatwość, z jaką – na ogół – uczeni dają się namówić na objęcie różnych stanowisk administracyjnych, pomimo tego, że wiedzą, co ich koledzy myślą o urzędnikach (i co sami niedawno myśleli). Jeżeli nie brać pod uwagę nielicznej (jak sądzę) grupy tych, którzy po prostu chcą się odciąć od swojego środowiska i robić karierę właśnie urzędniczą, to sądzę, że jednym z motywów jest idea: „znam te wszystkie problemy i ja to zrobię lepiej”. Może istnieją sytuacje, gdy to się faktycznie udaje, ale widziałem tylko nieliczne takie przypadki. I to też ograniczone w czasie. Okazuje się, że pamięć jest krótka, ciśnienie otoczenia przemożne, i stosunkowo szybko delikwent staje się klasycznym URZĘDNIKIEM. I tak jest też traktowany przez (byłych) kolegów. W dodatku urzędnikiem, który ma poczucie krzywdy: bo przecież chciał jak najlepiej, poświęcił się dla środowiska, a spotyka go niewdzięczność. Rezultatem jest frustracja. A sfrustrowany urzędnik to jeszcze gorzej niż po prostu urzędnik. Bo zwykle w końcu ląduje na pozycji „ja IM pokażę!”.

Spieszę wyjaśnić, że naprawdę nie mam nic przeciwko dobrym, solidnym urzędnikom. Wręcz przeciwnie, uważam, że są nie tylko potrzebni, ale wręcz konieczni, aby nasze życie nie zamieniło się w koszmar. A dzisiejsze ataki na „biurokrację” bardzo mi przypominają krytykę teje biurokracji i kelnerów w PRL-u.

Z moich obserwacji wynika jednak, że *prawdziwi* profesorowie po prostu na urzędników się nie nadają (większość pozostałych profesorów też się nie nadaje, ale z innych powodów). Najlepiej byłoby po prostu wprowadzić zakaz zajmowania pewnych stanowisk przez profesorów. To chyba niemożliwe, bo zapewne narusza Konstytucję i równość wobec prawa².

Może więc wystarczyłoby szerzej rozpowszechnić (znaną bodaj tylko w Krakowie) starą anegdotę o profesorze Kazimierzu Kumanieckim, który – na zwróconą studentowi uwagę, że ten nie tytułuje go ministrem – usłyszał: „ministrem może być u nas każdy, ale profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego – tylko wybitny człowiek”.

To było oczywiście przed wojną, teraz mamy inne czasy. Ale o anegdotce warto pamiętać.

ABBA



rys. Adam Korpak

¹ To zresztą nic oryginalnego: również dla mediów urzędnik stał się klasycznym chłopcem do bicia. Temat to wdzięczny, łatwy, zawsze można liczyć na poklask gawiedzi. Słyszałem nawet w radiu reklamę organizacji pozarządowych, atakującą samorządowców jako właśnie urzędników. Czyli słowo to jest rzeczywiście traktowane jako obraźliwe.

² Chociaż jeżeli można w majestacie prawa dyskryminować w Polsce profesorów ze względu na wiek („PAUza Akademicka” 224), to pewno dałoby się znaleźć argumenty również za takim rozwiązaniem.

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUZY”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów i korespondencji oraz zaopatrywania ich własnymi tytułami. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.



Wydarzenia

By wznieść się ponad szczyty...

Z kontaktów uczonych polskich, czeskich i słowackich w XX w.

Po obu stronach wspianego pasma gór karpaccy, które są wspólnym diademem dwóch braterskich narodów, rozciągają się nasze republiki. (...) dlatego też kulturalną współpracę czesko-polską ożywiała zawsze jedność ducha i serca. Z tej jedności tryskało poznanie, jak bliskie są sobie dusze polska i czeska, jak jednakowe są nasze życzenia i jakie mają nasze stosunki znaczenie dla prestiżu kultury słowiańskiej. K. Domin

Archiwum Nauki PAN i PAU, kontynuując współpracę z Archiwum Akademii Nauk Republiki Czeskiej, połączonym z Instytutem Masaryka, a także z Archiwum Uniwersytetu Karola w Pradze, w ramach drugiego już wspólnego programu badawczego zatytułowanego „Czesko-polskie kontakty naukowe i kulturalne w XIX i XX w.”, postanowiło po 10 latach jej trwania podjąć kolejne wspólne działania i zaprezentować bohemica ze swojego zasobu szerszej grupie odbiorców. W wyniku rozmów i konsultacji z kolegami, archiwistami z Pragi, zrodził się pomysł zorganizowania konferencji i opracowania wspólnej wystawy, poświęconych kontaktom uczonych polskich, czeskich i słowackich w XX w. Zarówno posiedzenie naukowe, jak i ekspozycja mają jedynie przybliżyć wybrane zagadnienia z bogatej palety stosunków polsko-czesko-słowackich w nauce i kulturze.



Konferencja polsko-czechosłowacka w Zakopanem w dniach 6–8 IX 1924. Od prawej: Walery Goetel, inż. Václav Roubík, mjr Bronisław Romaniszyn

Celem, jaki przyświecał autorom wystawy, było zobrazowanie relacji uczonych z perspektywy materiałów badawczy kilkunastu dyscyplin, jak również archiwaliów dotyczących wybranych tematów, wspólnych dla Polski i Czechosłowacji. Zaprezentowano materiały ze spuścizn: historyka i sławisty Henryka Batowskiego (1907–1999); filologa i sławisty Stanisława Urbańczyka (1909–2001), etnologa Mieczysława Gładysza (1903–1984), geologa Walerego Goetla (1889–1972) i zoologa Zygmunta Grodzińskiego (1896–1982). Na wystawie przedstawiono ponadto archiwalia odnoszące się do trzech powiązanych ze sobą zagadnień, w które zaangażowani byli uczeni obydwu krajów. Zasygnalizowano niektóre kwestie związane z wytyczeniem granicy pomiędzy Polską i Czechosłowacją oraz dotyczące idei tworzenia parków narodowych na pograniczu polsko-czechosłowackim, a także problemu ochrony przyrody.



Fotografia ze zjazdu naukowego w Pradze.

Od lewej:
Jerzy Kreiner,
Zygmunt Grodziński,
Ota Oliva.
29 VI 1964

Dzięki temu został zaprezentowany niezwykle bogaty materiał archiwalny. Ekspozowane fragmenty korespondencji pozwalają wczuć się w ówczesny dyskurs i wymianę myśli, a także relacje towarzyskie pomiędzy uczonymi, bowiem w spuściznach znaleźć możemy przykłady szczerzej przyjaźni pomiędzy uczonymi polskimi i czeskimi, czego dowodem jest interesująca korespondencja Walerego Goetla z Radimem Kettnerem oraz Zygmunta Grodzińskiego z Otem Olivą. Fotografii z organizowanych wspólnie zjazdów, konferencji i spotkań przenoszą w realne miejsca, gdzie dochodziło do bezpośredniego kontaktu pomiędzy badaczami. Uchwycone okiem obiektywu panoramy Tatr, górską florą i fauną oraz codzienne życie górali uzmysławiają potrzebę ochrony przyrody, a zarazem wprowadzają w metafizyczny świat natury. Dyplomy i medale stanowią dowód wzajemnego uznania i szacunku. Wśród eksponatów spotkać można m.in. medal Josefa Dobrovskiego czy dyplom doktora honoris causa Uniwersytetu Františka Palackiego w Olomuńcu. Zachwycają unikatowe dokumenty dotyczące wytyczenia granicy, jak chociażby legitymacja Walerego Goetla, członka Komisji Delimitacyjnej do wyznaczenia granicy polsko-czechosłowackiej.

Wystawa „By wznieść się ponad szczyty...”, towarzyszy posiedzeniu pt. „Na różnych drogach nauki... Z kontaktów uczonych polskich, czeskich i słowackich w XX w.” Podczas spotkania w Auli Polskiej Akademii Umiejętności omawiane będą rozmaite kierunki współpracy polsko-czesko-słowackiej w minionym stuleciu. Przedstawione zostaną osiągnięcia i zasługi wybitnych językoznawców, historyków, lekarzy, przyrodników, spośród których wybrano sylwetki Mariana Szyjko-wskiego, Jaroslava Valenty, Rudolfa Kimli i Walerego Goetla. Paradoksalnie to właśnie te, jakże odmienne naukowe drogi znakomitych uczonych prowadziły bardzo często do wypracowania wspólnego zdania i osiągnięcia obustronnego sukcesu na różnych polach działalności, bez względu na liczne przeszkody polityczne, kulturalne czy materialne.